

Stanisław Mikke

Patrzaj w Serce

Palestra 46/5-6(533-534), 71-74

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Patrzaj w Serce

Dwu lub trzykrotnie zdarzyło mi się odwiedzić, podczas sesji egzaminacyjnych, sąsiadujące ze sobą warszawskie uczelnie, Akademię Sztuk Pięknych i uniwersytecki Wydział Prawa. Za każdym razem wręcz szokowała różnica w atmosferze szkoły malarzy i „discyplin pokrewnych” oraz prawników. U pierwszych tak zwany luz, objawiający się również strojami, bywa, że ekstrawaganckimi, ale nierzadko jest to odzienie przyjemnie oryginalne. U drugich ubiór sztywny, a fluidy stresu w wysokim stopniu wyczuwalne na odległość.

Można powiedzieć – dwa światy, z których ten zewnętrznie barwniejszy, co tu ukrywać, jakoś kusi. Obserwujemy u artystów nie tylko szerszy margines swobody, ale też podejrzewamy ich o większy spokój. No cóż, wielu z nich wol-

nych jest od najrozmaitszych obciążeń dobrze znanych tym, którzy poszli w innym kierunku. Żeby daleko nie szukać. Łatwo zauważyć, że zazwyczaj nie odczuwają obowiązku, czy jak kto woli, przymusu psychicznego, skłaniającego do codziennego wypatrywania „Wiadomości”, „Faktów”, „Wydarzeń”, lub innego jeszcze dziennika oraz namiętne go wczytywania się w prasę, nadążania za maksymalnie dużą liczbą zdarzeń.

Mając dość systematyczny kontakt z kilkoma osobami z artystycznego środowiska już jakiś czas temu poniechałem dzielenia się z nimi opiniami na tematy nawet najbardziej bulwersujące, które jak gdyby siłą rzeczy trudno pominąć w rozmowie. Oni w większości nie tylko, że nie zazdroszczą, lecz należy przypuszczać, iż po cichu współczują tym, którzy permanentnie przeżywają wy-

dzielnicy cywilizacji. Nie ekscytują się takimi czy innymi aferami, stopami procentowymi, lustracją i mocowaniem się tych lub owych politycznych sił. Wszystko to traktują jako sprawy, przy których szkoda czasu się zatrzymywać. Oczywiście znajdują się wyjątki, jak zawsze i wszędzie.

Z perspektywy tych, którzy śledzą to, co codziennie i wokół, wydaje się, że nie trzymając ręki na pulsie oni są ubożsi o wręcz podstawową wiedzę o świecie. Ale czy to prawda? Czy w oglądzie rzeczywistości i jej przeżywaniu niezbędni są pośrednicy, którzy uwielbiają donosić nade wszystko o wszelakich paroksyzmach? Ba, są i tacy, którzy je prowokują prześcigając się w pomysłach.

W ostatnim czasie można było się dowiedzieć, że „Bar” Polsatu dogania „Big Brothera” TVN-u. Tekst w *Gazecie Wyborczej* zilustrowano wykresami przedstawiającymi poziom oglądalności. Widownia została podzielona na dwie kategorie: powyżej... czwartego roku życia i w wieku 16–49 lat. Widzowie w wieku przedszkolnym i szkolnym zaczynają od pewnego czasu preferować „Bar”, choć „Wielki Brat” trzyma się mocno. Publika idzie w miliony. A to oznacza duże pieniądze. Od początku emisji programu „Big Brother – Bitwa”, reklamowanego jako „Krew, pot i łzy każdego dnia” do końca marca 2002 roku TVN zarobił na reklamach 24 miliony, Polsat przy „Barze” zgarnął 9 milionów.

Czymże zatem przy takich zyskach jest kara 300 tysięcy złotych, jakie nałożył na TVN przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji za naruszenie prawa przez wyemitowanie w

tw. czasie chronionym odcinków „BB”. Juliusz Braun podkreślił: „przemoc w tym programie jest wręcz promowana”. I wyliczył serwowane widzom negatywne zachowania, komentowane przez prowadzącego program jako sytuacje normalne i naturalne – ponizanie przegranych, zachęcanie do stosowania przemocy, karanie tych uczestników, którzy chcą jej uniknąć, lansowanie swobody obyczajów.

Krajowa Rada jest jak wiadomo organem państwowym. I z tego tytułu zasługuje na poszanowanie. Tymczasem rzecznik TVN Andrzej Sołtysik (dobrze byłoby pamiętać nazwisko, bo tacy często lubią zmieniać kostium), na pytanie *Rzeczpospolitej*, czy kara wpłynie na kształt kolejnych odcinków „Big Brothera” odparł: – Nie widzę takiego powodu.

Niektórzy, patrzący z niepokojem na to, co wyprawiają środki masowego przekazu, z nadzieją przyjęli powstanie Konferencji Mediów Polskich. Powołała ona Radę Etyki Mediów, która wezwała ostatnio dziennikarzy pragnących pozostać w zgodzie z zasadami etycznymi zawodu dziennikarskiego o „powstrzymanie się od obsługi programu «Big Brother» i innych programów tzw. reality show, publicznie naruszających godność człowieka, naruszających prywatność i manipulujących w skali masowej publicznością – lansujących brak szacunku, dobrych obyczajów i reguł fair play”. Na początku kwietnia tego roku Konferencja uchwaliła wreszcie Dziennikarski Kodeks Obyczajowy. Nazwa może nie najszcześniejsza, ale inicjatywa zasługująca na uznanie. Prace trwały kilkanaście miesięcy. Dochodziło do

różnych kontrowersji, na przykład publiczne radio i telewizja nie godziły się na zapis zobowiązujący do wyciągania konsekwencji wobec dziennikarzy, którzy złamali przepisy kodeksu (!). W wyniku kompromisu zapisano, oprócz podstawowych zasad dziennikarstwa, że za naruszenia Kodeksu i wcześniej przyjętej Karty Etycznej Mediów dziennikarz odpowiada przed sądem dziennikarskim lub związkowym. Rada Etyki Mediów będzie zawiadamiać pracodawcę o naruszeniu Kodeksu, a treść orzeczenia zostanie podana do wiadomości publicznej. Cóż z tego, jeśli w Konferencji Mediów Polskich nie uczestniczy... telewizja publiczna (zrezygnowała w styczniu 2002 roku) oraz TVN. I ta ostatnia może sobie nadal bimbać.

Lekceważenie prawa i przyzwoitości przestało być domeną tych przede wszystkim, po których niczego dobrego nie można się spodziewać. Oto jeden z cenionych kardiologów ze Śląskiej Akademii Medycznej, założyciel Fundacji Kardiologicznej „Serce”, który ma na swoim koncie niejedno uratowane życie, uwikłany w działalność jakiejś przestępczej grupy. Prasa idzie dalej – *Rzeczpospolita* pisała wręcz o współpracy profesora P. z gangsterami, m.in. z niejakim Andrzejem B. ściganym ostatnio listem gończym. Mieli oni otrzymywać zwolnienia z kliniki Profesora P. i w ten sposób unikać aresztowań. Ale ścina z nóg inna informacja. Sąd Rejonowy w Sosnowcu od ponad 5 lat wynajmuje część budynku od spółki „Avita” należącej do tego właśnie Andrzeja B. Ze spółką tą umowę najmu podpisał wiceprezes Sądu Okręgowego w Katowicach,

który – jak podaje *Rzeczpospolita* – podejrzany o branie łapówek przewlekał postępowanie dyscyplinarne, przedkładając zwolnienia lekarskie wystawiane przez profesora P. I w ten sposób profesor zamykał koło, w którego istnienie aż trudno uwierzyć. A w nim, na pewno nie po to, żeby było weselej, znajdować się ma także sędzia R., o którym było głośno w związku z ucieczką podejrzanych w sprawie afery wokół firmy „Colloseum”. Sędzia R., podobno wbrew protestom prokuratury, skierował Wiesława S., wiceprezesa Fundacji „Serce”, na badania do kliniki profesora P., który jest przewodniczącym rady nadzorczej Fundacji. Byłoby to dziwne również wtedy, gdyby Wiesławowi S. nie postawiono zarzutu nadużyć na szkodę tejże Fundacji. S. w klinice profesora mógł liczyć na pomoc i ją otrzymał, dzięki wydanemu zaświadczeniu uratował wolność.

Wszystkie te fakty, nawet gdyby były w stu procentach prawdziwe, nie uprawniają jednak do coraz częściej pojawiającej się tezy, że jest to wierchołek lodowej góry nadużyć w wymiarze sprawiedliwości. Głoszenie jej prowadzi do trudno odwracalnych, ciężkich skutków społecznych.

Dziennikarze lubią ukazywać wszystko, co dotyczy wymiaru sprawiedliwości, a zwłaszcza już, kiedy można cokolwiek wynaleźć. Z jakim przewrotnym zadowoleniem jedna z gazet informowała, rzecz pozostawiając bez komentarza, o tym, że sędzia z Kielc pozwał zarząd dróg w Krakowie. Sędzia wnosił o zasądzenie kwoty 54 tysięcy złotych za straty wynikające z wypadku drogowego. Jechał motocyklem m-ki „Yamaha”, usiłował ominąć dziurę w jezdni zalaną wodą,

wpadł w poślizg, uszkodził motocykl i złamał nogę. Oczywiście nie ma nic zaskakującego w domaganiu się zadośćuczynienia za utratę zdrowia, sprawności fizycznej i możliwości rozwoju zawodowego, a także w żądaniu zwrotu kosztów długotrwałego wielomiesięcznego leczenia i rehabilitacji, a nawet dojazdów żony z Kielc do Krakowa. Ale sędzia zażądał również zwrotu kwot przeznaczonych na „zwyczajowe upominki po zakończeniu leczenia – kwiaty, bombonie-

ry i alkohol gatunkowy”. Cóż to jest wobec śląskiego kardiologiczno-sądowego zamieszania. A jednak...

Kolejny dzień, kolejna sterta gazet. Pokusa, aby odsunąć ten kielich. Może zacząć malować? Albo muzykować? A jeżeli za późno na taką odmianę? Wtedy chyba tylko pozostaje dzieci lub wnuki od małości prowadzić do galerii i na koncerty oraz powtarzać z nimi z uporem „stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy”.